

Jerzy Broszkiewicz

Kształt miłości



Jerzy Broszkiewicz

KSZTAŁT MIŁOŚCI
OPOWIEŚĆ O FRYDERYKU CHOPINIE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Autor okładki: Marcin Labus
Tekst: wydanie XI, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982
ISBN: 978-83-66719-22-4

Spis treści

[Motto](#) (4)

[Dedykacja](#) (4)

[CZEŚĆ PIERWSZA](#) (5)

[Uwagi, notatki oraz informacje wstępne](#) (5)

[Jedyny syn, wymowny świat i poczciwy Żywny](#) (14)

O wielkiej miłości, zaszczytach i smutku (25)

Zielony kraj i poczciwego Żywnego zakończenie (36)

Nadzieje, dumy i troski (44)

Na Miodowej nowy świat (58)

O oklaskach z morałem i o improwizacji (70)

O trzech miłościach (78)

CZEŚĆ DRUGA (96)

Paryski grudzień (96)

Stracone złudzenia (103)

Tirechappe (124)

Rachunki (132)

Sielanka (143)

Spotkanie (149)

Listy i komentarze (154)

Chateau Nohant (162)

O samotności (173)

Przedwiośnie (190)

Pożegnanie (205)

Motto:

Cóż wiesz o pięknem
Kształtem jest miłości
(C.K. Norwid) Promethidion

Dedykacja:

Mojej matce

CZEŚĆ PIERWSZA

Uwagi, notatki oraz informacje wstępne

Dyskutuje się trzy daty jego urodzin. Oficjalna metryka odnaleziona w brochowskim kościele parafialnym mówi co innego niż listy i tradycje — pedanci ciągle jeszcze walczą o swoją sprawę. Po dziś dzień nie znają prawdy czy był to słoneczny 1 dzień marca 1810 roku czy chmurny dzień 1 marca 1809 roku — czy wreszcie 22 lutego roku 1810.

Czy jest to jednak prawda ważna? Otóż nie. Jest to prawda, która niewiele wyjaśni. Jest równie mało ważna, jak godzina owych urodzin czy pogoda owego dnia. Powiedzmy sobie po prostu, że narodziny tego Chopina, o którego nam dziś chodzi, dokonywały się przez wiele lat: mały chłopiec poznawał świat powoli, zaczął pojmywać go gdzieś około lat dwudziestych piątych tamtego stulecia, pierwsze prawdy, które potrafił o nim wypowiedzieć, wypowiedział jeszcze później — już jako młodzieniec. Po cóż więc mamy się troszczyć o ów jeden dzień, gdy tylekroć ważniejsza jest sprawa tamtych lat?

Wiele też słów poświęcono innej zagadce: rodzicom ojca Fryderyka Mikołaja Chopin (Szopę, jak pisał niegdyś „Kuryer Warszawski”).

Pedanci znaleźli bowiem w archiwach miasta Nancy ślady po Mikołaju Szopie dworzaninie króla Polski i Lotaryngii. Stanisława Leszczyńskiego. Ów Szop przywędrował do Nancy wraz z drugim dworzaninem nieszczęśliwego a rubasznego władcy — Kowalskim.

Szop i Kowalski dzięki protekcji króla uzyskali koncesję na handel win. Lotaryńczykom jednak zapewne nie spodobał się tak trudny do odczytania szyld: „Szop i Kowalski” — bo już po roku czy dwu szyld brzmiał tak: „Chopin et Ferrand”.

Był to rok 1740... W roku 1787 przybył do Polski siedemnastoletni Nicolas Chopin.

Przynajmy — snucie domysłów na temat tych dwu faktów i dat mogło być kuszące. Toteż skusiło się wielu. Ale znaleźli się i tacy przedstawiciele nauki, którzy hipotezę o polskich antenatach pana Mikołaja Chopin wyśmiali i ów śmiech udokumentowali archiwalnie.

O cóż jednak toczyła się cała dyskusja? O ilość „polskiej krwi” w żyłach ojca Fryderyka Franciszka Chopin? Przecież fizjologia nie zna „polskiej grupy krwi”.

Tak — polskości Fryderyka nie należy szukać w układzie krwionośnym polskiego kompozytora o francuskim nazwisku. Należy jej szukać w układzie krwionośnym jego dzieła. I jeśli będzie tu mowa o rodzicach Fryderyka — to nie tylko o panu Mikołaju i pani Justynie (de domo Krzyżanowskiej). Temu Fryderykowi Chopinowi, którego pamięć jest nam bliska, matkowała nie tylko pani Justyna. Pani Justyna nauczyła go mówić po polsku, pan Mikołaj po francusku pani Justyna uczyła go gamy (do. re. mi...) — pan Mikołaj tabliczki mnożenia.

Fryderykowi matkowali jednak także nauczyciele pierwszych prawideł tego języka, którym po dziś dzień do nas przemawia.

Biografowie ubiegłego stulecia przystroili życie Fryderyka w nazwiska Radziwiłłów. Sapiehów, Czartoryskich, Czartoryskich, Platerów... Były to nazwiska wymownych mecenasów. którzy mecenasowali głównie hojnymi obietnicami.

Zapomniano zaś o grajkach szafarskiej kapeli — o skrzypku, którego Fryderyk podsłuchiwał pod karczmą stojącą tuż nad wiślanym zakrętem o dziesiątkach innych muzykantów i pieśniarzy z Anina, Poturzyna, Oborowa, Nieszawy. Oni też przecież najlepiej i najmądrzej mecenasowali i matkowali talentowi Fryderyka. ucząc go rymów i „semitoniczno-fałszywej” melodyki Mazowsza.

Cóż dalej?

Wiemy, jak wyglądał dom w Żelazowej Woli — mówi się też o Pałacu Saskim — mówi się o tym, że w Pałacu Kazimirowskim salon pp. Chopinów był zarazem sypialnią

Fryderyka. Powiedziano o tym wiele — pozostawmy zatem sprawy kozetek i haftów na uboczu.

W jakich pokojach i domach mieszkał Fryderyk? Nie! w jakim mieszkał mieście, w jakim kraju, w jakiej Europie?

Fryderyk wymawiał już dobrych kilka dziesiątków słów, kiedy pod Waterloo skończyła się kariera człowieka, dzięki któremu nad Europą niósł się przez, piętnaście lat huk artyleryjskiej kanonady. Pan Mikołaj zaś nie umiał zbyt dokładnie zapomnieć o lecie 1794 roku, kiedy to służył w Narodowej Gwardii dowodzonej przez szewca Kilińskiego.

Tak — ani w Warszawie, ani w żadnym z miast Europy nie zapomniano pamiętnej daty 14 lipca.

14 lipca zburzono Bastylię. Tego dnia paryżanie udowodnili światu, że ani prawodawstwo królewskie, ani królewskie więzienia nie są wieczne. Było to doświadczenie groźne dyrektorzy policji carskich i królewskich starali się wmówić obywatelom swych krajów, że nie dokonało się nigdy. Historia jednak nie dba o dyrektorów policji — nie dba nawet o kongresy monarchów.

W roku 1815 kilka ukoronowanych głów postanowiło że podyktuje historii swoje zdanie o Europie. W pauzie po między jednym a drugim kongresowym balem koronę Iran cuską włożyli na głowę Bourbona. I oto zrzucił mu ją z głowy piętnaście lat później lud paryski. Po Karolu X włożył tę koronę Filip Orleański. Nie na długo — lud paryski zrzucił mu ją z głowy 22 dnia miesiąca lutego w roku 1848.

Ale nie tylko Francja nie zapomniała Wielkiej Lekcji 14 lipca.

Fryderyk był uczniem szóstej klasy Liceum, gdy dyrektor warszawskiej policji podpisał nakazy aresztowania członków Towarzystwa Patryotycznego. W cztery lata później pod Warszawą poczęły wstawać łuny listopadowej rewolucji. W pięć zaś lat później Paryż przywitał Fryderyka sceną, o której tak pisał do Tytusa Woyciechowskiego:

„Naprzeciwko mnie stanął kwaterą generał Ramorino, w miejscu tak nazwanem Cité Bergère... Wiadomo Ci zapewne, jak go wszędzie Niemcy przyjmowali, jak go w Strasburgu Francuzi, zaprzęgnawszy się w miejsce koni, w tryumfie ciągnęli, słowem, wiadomy Ci ten entuzjizm ludu dla naszego generała. Paryż nie chciał być ostatnim w tym względzie...

...W parę dni później wali się ogromne mnóstwo już nie tylko młodzieży, ale i pospólstwa, zebranego pod Panteonem. na drugą stronę Sekwany do Ramorina. Jak lawina śniegu, im więcej ulic przechodzi, tym ogromniejsza masa tworzy się ludzi, aż przy moście Pont-Neuf oczekująca na nich konna żandarmeria rozpraszać wszystkich zaczyna. Wielu pokaleczonych, ale mimo to mnóstwo ludzi zebrało się na bulwarach pod moimi oknami, żeby złączyć się razem z idącymi z drugiej strony miasta. Policja nic pomóc nie mogła, tłumy coraz stawały się większe; przyszedł oddział infanterii. szwadron huzarów; adiutant placu rozkazał gwardyi municypalnej i wojsku spychać z trotuarów i z ulicy ciekawsze i mruczące pospólstwo; łapią, aresztują (wolny naród!)

...wszystko skończyło się na zaśpiewaniu ogromnym chórem około północy: *Allons enfants de la patrie*... Jakie na mnie wrażenie zrobiły te groźliwe głosy nieukontentowanego ludu, ani pojmiesz.”

Lud paryski za okrzyk *Vivent les Polonais!* otrzymywał odpowiedź od swego rządu na szablach szarżujących huzarów. Okrzyk ten znaczył bowiem także „Precz z tyranią!” i „Niech żyje wolność!” Rząd Orleańczyka, tłustego króla episjerów, wiedział dobrze o tym, że lud paryski, manifestując w obronie wolności Polaków, manifestuje także w obronie swojej własnej wolności.

Wiedział o tym także Fryderyk coraz lepiej i dokładniej poznawał miasta i kraje, w których mieszkał. Czyż ważne mogą być zatem kolory i wzory firanek zawieszonych na oknach jego mieszkań, jeśli za owymi oknami śpiewano ogromnym chórem: *Allons enfants de la patrie!*

To prawda, że Fryderyk nie był człowiekiem polityki nie wolno wkładać mu w usta rewolucyjnych zdań, jak nie wolno stroić go w przyjaźnie Konstantego Romanowa i Filipa Orleańskiego. Pamiętajmy jednak o tym, kto uczył go pierwszych prawideł języka, którym dziś do nas przemawia pamiętajmy też o słowach Schumanna — „armaty w kwiatach”. Tak bowiem Robert Schumann nazwał muzykę Fryderyka Chopina.

Po której stronie barykad stały armaty? Po stronie Filipa Orleańskiego czy po stronie tłumów, krzyczących: „Niech żyją Polacy!” i „Niech żyje wolność!”?

*

Bywało tak, że rozbiorowi pięciostronicowego poematu poświęcano trzysta stron petitu, a sprawie daty urodzin jeszcze więcej wierszy i kartek. Nie dziwny się cieniem spraw małych można przesłonić rzeczy wielkie. Im dalej w przeszłość, tym sprawa łatwiejsza. Nie potrzeba nawet kłamać — wystarczy „przeoczyć”, „zapomnieć”, wystarczy „nie dostrzec”.

O tak w cieniu spraw małych i niepotrzebnych utonęło wiele faktów. Ów cień mącił nam obraz historii od najwcześniejszych lat.

Słyszeliśmy nazwisko — Mickiewicz. Od razu na podporządku znajdowało się imię Maryli. Maryla rosła, olbrzymiała po Maryli siarczyło jeszcze miejsca na „Pana Tadeusza” (opisy przyrody w „Panu Tadeuszu”) i na I sonet krymski. Cóż dalej? Dla starszych jeszcze brat Adam, jako sługa mistrza Andrzeja

W cieniu Maryli — w opisach przyrody — w grząskiej i smutnej historii towiańszczyzny „nie dostrzeżono” spraw większych od tego wszystkiego o całą epokę. Redaktora naczelnego „Pielgrzyma” i „Trybuny Ludów”, organizatora Legionu, przytłoczono makulaturą o Maryli... Nawet Boy-mędrzec uczepił się spódniczki Xawery Deybel.

Cienie spraw małych i niepotrzebnych: białe rękawiczki, salony, pryncessy i pryncypessy — dużo łzawej melancholii, łańcuszek pięknych (oczywiście) wielbicielek — Chopinek usypiający gromadę rozwrzeszczanych malców — Chopinek wożony przez generała Kurutę do Wielkiego Ks. Romanowa i ten sam cudowny dzieciak, którym się bawi „patriotyczna” warszawska socjeta Chopinek już paryski i wielki, niemalże domownik Platerów i stu innych wspaniałych familii artysta kochliwy jak panna na wydaniu, które się już nigdy nie spełni... Oto rejestr spraw małych i niepotrzebnych, które podnoszono do godności pierwszego rzędu.

Ale są sprawy małe i są sprawy niepotrzebne. Nie stawiamy pomiędzy nimi znaku równości. Sprawy niepotrzebne to te, które X lub Y, chcąc się przyżenić do nazwiska Chopina, wyssał sobie z palca i zapisał w pamiętniku czy ogłosił we „Wspomnieniu”. Anegdoty ni przypiął, ni przyłatał, historyjki lub charakterystyki dyktowane przez łzawę mody. Do kosza z nimi.

Spraw małych nie należy jednak pomijać całkowicie są one tłem rzeczy wielkich, dodają im smaku i barwy, jak ważnemu rzeczownikowi doda czasem smaku przymiotnik dopisany z autorskiej tylko kokieterii.

Prawdą jest bowiem, że Fryderyk był dandysem z morskiej pianki. Że raz go znowu „bóstwo z różą we włosach czarnych zachwyciło”. Albo: że po godzinnej rozmowie Fryderyka i Delacroix na temat wspólnych podobieństw barwy muzycznej i barwy malarskiej, ci dwaj zapomnieli o owych sprawach na rzecz... angielskiego krawca, u którego ubierał się Fryderyk, a u którego Delacroix chciał sobie sprawić ciepły i lekki zarazem surdut. Zgoda Fryderyk Franciszek Chopin z iluś lam kobietami miał przelotne przygody i lubił używać niekiedy nawet w listach słów, które się zazwyczaj w druku wykropkowuje.

Prawdą jest także, że siedmioletniego Chopinka woziły sobie różne damy z salonu do salonu, jak. za przeproszeniem, tresowanego pudła. A że znowu dwudziestopięcioletni

Chopinek bawił paryskie comtessy tak gorliwie, aż go Mickiewicz skarcił za błazenady. No i że w tej chowanej na *Leiden des jungen Werthers* epoce Fryderyk nauczył się sentymentalnych póz i zbytecznych gestów.

Natomiast nieprawdą jest, jakoby z tych małych prawd można było zrekonstruować sens opowieści o Fryderyku Franciszku Chopinie. Nawet najbardziej przez biografów szanowane miłości odsuńmy na plan dalszy. Każda z nich winna otrzymać należne sobie miejsce i należną sobie laurkę. Plan pierwszy należy się jednak opowieści o pracy i dziele Fryderyka Chopina.

My, muzycy, jesteśmy zdania, że o muzyce pisać nie należy. że w słowach nie zamknie się żadnej z jej piękności. Natomiast my, pisarze, sądzymy, że pisać należy o wszystkim. o każdej ludzkiej sprawie. A więc o muzyce także.

Oba te sądy próbujemy ze sobą pogodzić.

Jasne jest, że żadnymi słowami nie opowie się pierwszego tematu Sonaty h-moll. Nie pomoże tu żadna proza ani poezja muzyka musi przemówić sama.

Niemniej jednak pierwszy temat Sonaty h-moll. tak jak wszystkie inne motywy i tematy, nie przyszedł na świat z kraju Muzyki od Wszystkiego Niezależnej Takiego kraju nie ma. Muzyka jest sprawą bardzo ludzką sprawą nie tylko jednego człowieka-twórcy i jednego człowieka-odbiorcy. Temat Sonaty h-moll sformułował i zapisał znakami pozornie abstrakcyjnymi Fryderyk Chopin. Owa sonata jednak jest świadectwem stosunku Fryderyka Chopina do widzialnego, żywego, otaczającego go świata.

Analizując ją formalnie, odnajdziemy takie a takie metody przetwarzania tematu czy budowania chromatycznych modulacji. Słuchając jej jednak — przeżywając wzruszenie obcowania z wielkim dziełem sztuki, pojmujemy, że powstała ona nie w kraju Abstrakcji, lecz w umyśle człowieka jak najbardziej żywego człowieka, który żył w określonym kraju, w określonej epoce, który widział bieg historii, wzruszał się życiem lub śmiercią, cieszył się urokiem świata lub protestował przeciw złu. „Wolność wiodąca lud na barykady” widziana oczami Eugeniusza Delacroix i przezeń utrwalona na płótnie, jest zrozumiała dla każdego. Ten sam dramatyzm epoki, który d o j r z a ł Delacroix, p o s ł y s z a ł Fryderyk Chopin. Równie wymowne jak „Wolność” są setki taktów spisane ręką Fryderyka, choć tylko Etiuda nr 12 otrzymała miano „rewolucyjnej”.

O ile więc żadnymi słowami nie da się opowiedzieć piękna muzyki Chopinowskiej, o tyle szukając jej rodowodów, przyglądając się pracy Fryderyka, krajom, które widział, i epoce, w której żył, możemy pojąć jego dzieła rzeczywistą wielkość nie tylko tę, którą rozumiemy d z i ś na sali koncertowej, lecz tę, która tworzyła się przed stu dwudziestu i stu dziesięciu laty. Na sali koncertowej łatwo można zapomnieć, że mazurek, który jest dla nas wzruszeniem lirycznym, mógł być kiedyś dla jego twórcy nie tylko lirycznym wzruszeniem, lecz także walką.

*

Fryderyka nikt nie nazwie politykiem.

Bywając gościem w „Dziurce”, kawiarence mieszczącej się w pałacu Tepperów przy ulicy Miodowej, naprzeciw składu nut pana Brzeziny siadywał przy jednym stoliku z ludźmi, którzy w politycznych materiach mieli swój sąd. I to sąd bardzo podszyty jakobińskimi czy dekabrystowskimi ideami. Na pewno był świadkiem niejednej gorącej a „gorszącej” dyskusji.

Wiemy tylko tyle: słuchał i milczał.

U pani Sand — czy to w Nohant, czy na rue Pigalle bywali Piotr Leroux, Blanc. Ledru-Rollin. Delacroix... Ci ludzie mówili o rewolucji z pasją rewolucjonistów. Sama pani Sand była wraz z Piotrem Leroux redaktorką „Revue independante”.

Fryderyk stykał się z nimi często: bywało, że dzień w dzień słuchał dyskusji toczących się na tematy, które w salonach Rotszyldów i Czartoryskich wykleto i których się przede wszystkim w owych salonach bano. Znowu wiemy o nim tylko tyle, że: słuchał i milczał.

W owych czasach wielce ceniono rozmowę i dyskusję. Wieczory, na których roztrząsano problemy najbardziej kapitalne, trwały po pięć, sześć, siedem godzin. Balzak, pisząc do pani Hańskiej o swej wizycie w Nohant, całkiem mimochodem wspomina o faktach dla nas zdumiewających: „Żyje ona (p. Sand) tak mniej więcej jak ja. Kładzie się spać o 6 rano, a wstaje koło południa, podczas gdy ja idę spać o 6 wieczorem, a wstaję o północy: ale, naturalnie, zastosowałem się do jej trybu życia. Tak że przez trzy dni gadaliśmy od 5 po południu, po obiedzie, do 5 rano”.

Fryderyk nie cenił rozmów ani dyskusji zasadniczych. O ile bywał w niewielkim towarzystwie, chętnym do zabawy, mówił, bawił, zabawiał i komplementował. Należał do grona najdowcipniejszych ludzi artystycznego Paryża wspaniały imitator. mistyfikator. wspaniały *causeur*. Umiał mistrzowsko prowadzić dialogi, słowne tria i kwartety. Kiedy jednak w wielkich salonach wśród ludzi palących się do filozoficznych czy politycznych rozważań brylowali Balzak. Liszt. Heine. Fryderyk milczał. O ile przemawiał — to tylko swoją muzyką. Wtedy „mówił” długo, „mówił” na tematy wielkie i zasadnicze ustępowali mu głos mędrca, poeci, politycy Mickiewicz cofał się w zacieniony kąt i słuchał przymknawszy powieki — Heine krył twarz w dłoniach.

Ludwig van Beethoven dedykował początkowo swą III Symfonię konsulowi francuskiej rewolucji generałowi Bonaparte. Gdy Bonaparte porzucił godność konsula na rzecz cesarskiej korony. Beethoven przedarł karłą z dedykacją.

Fryderyk dedykował swe dzieła na innej zasadzie — były to z jego strony zwykłe akty grzecznościowe. Hrabinie takiej a takiej — bo wypada. Wypadało także jakiejś tam księżnej lub wydawcy. Jeśli wydawca nie miał ochoty na płaconie żądanej ceny. Fryderyk... cofał dedykację.

Albo: kompozycje, jakie zrodziły się w klimacie miłości i tęsknoty do Marii Wodzińskiej, przypisał osobom, które wtedy już go ani grzały, ani ziębiły. Tyle że pięknie utytułowane — a więc: hr. Apponyi. hr. Lobau. baronowa d'Est i baronowa Billing... Dedykacja Fryderyka była gestem z gruntu konwencjonalnym gestem tak mechanicznym, jak pięknie wystudiowany ukłon.

Beethoven pisząc dedykacje manifestował swe myśli — Fryderyk nie miał tego zwyczaju. Tak jak nie miał w zwyczaju wygłaszania w sposób ostentacyjny swych przekonań, swych sądów o sprawach najważniejszych czy o ludziach sobie najbliższych.

Czytając jego listy do rodziny czy przyjaciół, odnajdziemy wiele słów o miłości, czci, szacunku, pamięci, przywiązania ich klimat uczuciowy ma dla dzisiejszego czytelnika temperaturę zdumiewająco wysoką. Ale — nawet tu spotka nas zawód. Porównajmy listy Fryderyka z listami innych współczesnych. Styhstykę ich dyktuje epoka sentymentalizmu i romantyzmu — co krok to miłość, i to jakimi przymiotnikami opatrzone! Co list, nawet byle jaki, to rozżarzony do białości „poemat liryczno-filozoficzny”. Aż mdło się robi. Listy Fryderyka — szczególnie z lat dojrzałych w porównaniu z cudzymi tracą na wzruszeniu, stają się coraz chłodniejsze.

A więc uparcie wraca jeden i ten sam motyw — oszczędność słowa, powściągliwość w zbyt czytelnym ujawnianiu swych myśli i uczuć. Fryderyk, jest błyskotliwy i wymowny, potrafi czarować i zadziwiać swym *l'esprit*. Równocześnie jednak na lemat spraw przekraczających granice towarzyskiego gestu milczy uparcie.

Raz tylko, w sluttgarckim dzienniku, wypowie się otwarcie wtedy w słowach ujawni się Chopin niemalże równy Chopinowi z preludiów i etiud. Karty dziennika kryją wzruszenia nie mniejsze od tych, które we wstrząsającej wizji poetyckiej objawi Improwizacja Konrada.

Jest to jednak fakt, który się nie powtórzy — Fryderyk znowu „zamilknie”. Znowu pamiętnikarze, historycy i wspominkarze będą się plątać w sieci konwencjonalnych anegdot i domyślnych faktów. Z listów, które można niekiedy uważać za doskonałą literaturę, będą się starali odczytać skrywane myśli w portretach, rachunkach i cudzych relacjach będą szukali głównej prawdy o Wielkim Artyście.

Tak — nie jest to sprawa łatwa ani prosta domyślać się uczuć, pragnień i myśli człowieka, który nie lubi dyskusji zasadniczych, który nie wypowiada się w listach, który nawet dedykacje na swych dziełach wypisuje obojętnie i mimochodem.

O Balzaku, o Mickiewiczu, o Słowackim czy p. Sand możemy się z ich słów dowiedzieć niemal wszystkiego. I oto należy przypomnieć, że Fryderyka również możemy poznać i pojąć. Ale tylko wtedy, gdy odtwarzając sobie obraz jego życia nie zapomnimy ani na chwilę o wymowie jego muzyki!

Mógł bowiem skryty i zamknięty p. Fryderyk Chopin dedykować swe dzieła ludziom, których czas już dawno skreślił z ludzkiej pamięci nie ukrył jednak tej prawd, że całe niemal swoje dzieło dedykował swej Ojczyźnie.

Mógł także w czas wiedzionych do późna w noc płomiennych dyskusji milczeć — wzruszać ramionami na pytania dotyczące się spraw najbardziej górnych. Nie zapomniał jednak zamknąć w swych dziełach tyle treści swej epoki, że znaczą one tysiącokrotnie więcej niż przelewane z pustego w próżne frazesy George Sand — więcej niż tyrady „Hernaniego” czy „harfy i jeziora” pana Lamartine'a.

Iluz — i to jak sławnych, jak „płomiennych” i „wielkich” ludzi owego czasu pomniejszy sam czas. Patrzymy na nich przez historię jak przez odwróconą lornetkę. Tymczasem ten, którego ceniono prawie wyłącznie jako reformatora fortepianu (niestety! niestety — mówiono — t y l k o fortepianu!), urósł do wielkości pomnika, który sobie wystawiły epoka i naród.

Jeszcze raz powróćmy do królestwa spraw małych powróćmy też do dedykacji. Kryje się bowiem w tym wszystkim sprawa nie całkiem jasna.

Jakże to? Fryderyk na co dzień jest dandysem z morskiej pianki — nosi rękawiczki, od których pójdzie potem po Paryżu moda *à la* Chopin, i fraki, których kroju zazdrości mu sam hrabia Flahault. Fryderyk na co dzień nie lubi gadania o sprawach wysokiej rangi. Lubi natomiast strzelać oczami za bóstwem z różą lub za bóstwem z kamelią — lubi bardzo ptfurki, wygodny kabriolet... Czy będzie to bal u warszawskich Radziwiłłów, czy przyjęcie u wiedeńskich lub paryskich Rotszyldów — Fryderyk jest jednym z najbardziej czarujących danserów i zawraca w główkach pięknie utytułowanym pannom. Spis przyjaciół i uczniów Fryderyka to w znakomitej większości nazwiska z Almanachu Gotajskiego. a co najmniej z herbarza Paprockiego — niżej ani przystęp. Mieszkanie przy Chaussée d'Antin, przy rue Tronchet i przy rue du Montblanc — to bombonierki — w szafkach srebra, kryształ, porcelany — na ścianach miniatury — meble szlachetne a drogocenne, jakieś tam perpendykuly i statuetki z brązu — no i kwiaty, kwiaty, kwiaty.

W pierwszych siedmiu czy ośmiu lalach swej paryskiej kariery Fryderyk jest gościem najwytworniejszych salonów Paryża. Któż, śmie zaprzeczyć temu, że najwytworniejsze salony Paryża były wówczas najwytworniejszymi salonami świata? A salony Wiednia, Londynu, Warszawy, Drezna, Monachium? Właśnie w tym środowisku upływały dwudzieste i trzydzieste lata Fryderykowskiego życia; stąpając po posadzkach salonów podchodzi Fryderyk Franciszek Chopin ku przygotowanym dlań instrumentom.

Więcej: Fryderyk siadając do owych instrumentów budził wzruszenia w herbowych sercach rytmem walca, eleganckim pasażem i eleganckim krojem kamizelki. Na miejscu mogą tu być jeszcze niektóre nokturny, niektóre etiudy lub preludia — liryczne lub błyskotliwe cacka. Coraz częściej jednak — z roku na rok częściej i dobitniej — w strunach

owych instrumentów odzywa się głos innego świata niż świat złożonych kandelabrow i perskich szali.

Dziś zaś — wiemy już na pewno — fortepian Chopina jest pomnikiem wystawionym epoce i narodowi, c a ł e m u n a r o d o w i. Mieszkaniec pokoi przy Chaussée d'Antin czy rue Tronchet. gość paryskich salonów, już przed stu laty ustąpił miejsca człowiekowi, który „ludowe podniósł do ludzkości” — okazało się, że artysta „stworzony” przez Czartoryskich i Radziwiłłów wielkość swoją zawdzięcza sztuce i wyobraźni ludzi nie notowanych w herbarzach i almanachach.

Dzień powszedni Fryderyka rozgrywał się we wnętrzach kosztownych i wytwornych. Cóż pozostało w jego pracy z ich klimatu? Bardzo niewiele swych myśli poświęcił sprawom małym i niepotrzebnym — dniom powszednim wytwornego fortepianisty i kompozytora.

Fryderyk Chopin był człowiekiem, który widział przede wszystkim i ponad wszystko swój kraj i ludzi tego kraju. Nie sądźcie, że owymi ludźmi były pachnące piżmem pięknotki i ufryzowana złota młodzież. Na Majorce, przy rue Tronchet. w Londynie pamiętał przede wszystkim o tych, których wówczas nazywano rzewnie „naszym ludem”. Bezimienni mieszkańcy Szafami, Oborowa, Nieszawy — mieszkańcy małych wiosek i kurnych chat, boscie dziewczęta i pomarszczeni jak pieczone jabłka starcy — oto przedmiot jego twórczej pamięci. I nie myślcie, że tylko tom mazurków dowodnie o mej świadczy; bo czymże jest owa sława, wzruszająca polskość Chopinowskiej muzyki? Właśnie pamięcią, nieustającą, najwierniejszą pamięcią o sztuce, i wyobraźnią małych wiosek Mazowsza.

Fryderyk Chopin mieszkał w pokojach strojnych jak bombonierki. Nie sądźcie jednak, że ich ściany ograniczyły jego wzrok. Europa owych lat żyła syto, wygodnie, spokojnie. W salonach, w pokojach, w pałacach drzemała właśnie syto, wygodnie i spokojnie Europa Flahaultów i Rotszyldów.

Ale na ulicach innej Europy budowano barykady — na barykadach walczone o wolność; walczone w Paryżu, w Warszawie, we Włoszech i Austrii. Na Boulevard Poissonnière śpiewano *Allons enfants* — po Krakowskim Przedmieściu niosła się melodia „Warszawianki”.

Raz tylko Fryderyk opisał Tytusowi Woyciechowskiemu scenę takiej walki o waszą i naszą wolność. Pan Hoesick cytując ów list wzrusza się; „Należy podziwiać żywość i plastykę tego opisu. Widzi się wszystko”.

To mało, że „widzi się wszystko”. Należy słuchać w muzyce Chopina usłyszy się tysiącokrotnie więcej niż echa tej sceny. Spokojnym, sennym urokiem pokojów strojnych w makatki pan Chopin poświęcił niewiele swych wzruszeń.

Jego dni twórcze działały się w świecie walki nawet mały mazurek, drobne rzekomo wzruszenie liryczne, był jej fragmentem. W patetycznych frazach sonat, polonezów, etud i ballad odbijał się patos walczącej Polski i walczącej Europy. W skromnych tematach mazurków Fryderyk dawał świadectwo swej pamięci o ludziach, o których jego wpisani w almanachy przyjaciele nie pozwalali pamiętać.

Za wcześnie na wnioski ostateczne. Niech podsuną je nam dalsze stronicie tej książki. Można by wprowadzić rozpoczęcie analizy opusów, numerów i tonacji. Zbyteczny trud my. muzycy, wiemy, że w żadnych słowach nie zamknie się piękna pierwszego tematu Sonaty h-moll.

Spróbujmy jednak przyjrzeć się widzialnemu światu Chopinowskiej muzyki, pójdźmy śladem dni twórczych Fryderyka, przyjrzyjmy się jego dniom powszednim.

A więc:

Jak wiadomo, dyskutuje się trzy daty jego urodzin. Oficjalna metryka odnaleziona w brochowskim kościele parafialnym mówi co innego niż listy i tradycje. Po dziś dzień nie

wiemy, czy był to słoneczny 1 dzień marca 1810 roku czy chmurny dzień 1 marca 1809 — roku czy wreszcie 22 lutego roku 1810. Mniejsza o to.

Za to wiemy już na pewno, że pierwszy i ostatni syn pp. Mikołaja i Justyny Chopinów urodził się w Żelazowej Woli. Na chrzcie — do którego trzymali go (*in effigie*, oczywiście!) jaśnie oświeceni: Franciszek Grębecki (w imieniu Fryderyka hr. Skarbka) i comtessa Anna Skarbek chłopak otrzymał imiona Fryderyk Franciszek.

Był to dzień 23 kwietnia — początki ciepłej wiosny. Dzieciak jednak darł się rozpaczliwie pod strumykiem zimnej, choć święconej wody. Proboszcz Brochowa, ksiądz Jan Duchnowski. pokiwał mądrze głową: „Ma siły do płaczu, będzie miał siły do życia”. Zapisując zaś w księgi fakt tak dla pp. Chopinów uroczysty, aż dwukrotnie zmylił nazwisko ojca. Nic dziwnego — nazwisko obce, nieszlacheckie. I tak zadziwił go ród chrzestnych rodziców. Wiadomo jednak, że czasami zdarza się równie godna grzeczność. Poza tym matka chłopca — Krzyżanowska. Mówiono, że daleka kuzynka Skarbków. Jej nazwiska nie zmylił, mimo że Krzyżanowska za Chopyna czy lam Choppena wychodzić nie powinna. Bo choć rodzice chrzestni wysokiego rodu, to i tak rzeczywistymi świadkami przy chrzcie byli: Józef Wyrzykowski, ekonom, liczący lat trzydzieści osiem, tudzież Fryderyk Geszt, który rok czterdziesty skończył, obydwa w wsi Żelazowa Wola zamieszkali. Nic zatem dziwnego, że ceremonię odprawił ksiądz proboszcz dość śpiesznie i bez zbytnej celebracji. Fryderyk Franciszek zaś płakał jeszcze długo po „wyjściu” z zakrystii. Dopiero w drodze zmęczył się płaczem i usnął.

Trzeba zresztą przyznać, że Fryderyk o którym z miejsca domowi poczęli mówić per Frycek, Frycuś, Frycinek skory był do płaczu. Jest to zresztą obyczaj wszystkich wątłych, słabowitych dzieci.

Gdy p. Mikołaj dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności (czyli dzięki protekcji Skarbków, u których był guwernerem. i „dzięki” śmierci profesora Liceum Warszawskiego pana Mahé) uzyskał nominację na profesora Liceum, wypadło porzucić Żelazową Wolę. Podróż cieszyła wszystkich podróż do Warszawy — nominacja — jakież to piękne dowody społecznego awansu pana Mikołaja.

Jeden Fryderyk nie cieszył się — płakał. Jego cały ówczesny świat to było na razie tylko jego własne, wątłe, drobne ciało, jakże podatne na ból. na chłody i głód. Gdy po wielogodzinnej jeździe bryki z rodziną i dobytkiem pp. Chopinów zajechały na podwórze Saskiego Pałacu, twarzyczka malca była ciągle mokra od łez. choć już nie starczyło mu sił na krzyk.

Pan Mikołaj natomiast był szczęśliwy — pozycja profesora, mieszkanie w stolicy, mieszkanie po profesorze (Mahé) obszerne, wygodne, wielkomiejskie; rektor Liceum, prof. Bogumił Linde, przyrzekł poparcie w uzyskaniu od władz szkolnych zezwolenia na prowadzenie pensji dla uczniów Liceum... Pan Mikołaj miał wielce uzasadnione powody do radości. Szczególnie ważna była sprawa pensji. Wynagrodzenie profesorskie zaszczytne, lecz skromne. Pensja zaś mogła bardzo wydatnie poratować finanse.

Udało się. Więcej: zakład p. Mikołaja w szybkim czasie uznano za jedną z najmodniejszych, najbardziej cenionych i — to ważne, to bardzo ważne najdroższych pensji w Warszawie. Pensjonariusz pp. Chopinów. Eustachy Marylski. twierdzi, że „o pomieszczenie w niej dla synów swoich dobijali się ojcowie najpierwszych rodzin w kraju, pomimo olbrzymiej, jak na owe czasy, opłaty, bo do czterech tysięcy złotych na rok od jednego ucznia wynoszącej”. A choć dodano tu jeszcze uwagę, że „mniej zamożnym folgowano niekiedy”, to jednak można być pewnym, iż dobrobyt owego domu wzrastał z roku na rok. Posadzki w mieszkaniu błyszczały coraz piękniej, przybywało na ścianach makatek, meble przywiezione z Żelazowej Woli dosłużyły się przygodnego handlarza — na koniec zaś, po nowych krzesłach, fotelach, stołach i komodach, do salonu wniesiono nowe piękne

fortepiano, produkcji najlepszego tych instrumentów warszawskiego majstra, pana Buchholza.

Trzeba bowiem wiedzieć, że „muzyka stanowi tutaj ważną część starannego wychowania... w każdym domu porządniejszym jest przynajmniej *Fluegelfortepiano* i ktoś grający na nim, nierzadko wybornie”. Tak to mówi o Warszawie korespondent „Allgemeine musikalische Zeitung”, wydawanej w sławnym mieście Lipsku.

Pani Justyna nie grała wybornie. Grała jednak tak, jak wypadało grać na modnym instrumencie, *primo*: młodej pannie ze skuzynowanego ze Skarbkami domu — *secundo*: żonie kierownika pensji dla synów najgodniejszych rodzin w kraju.

Pensjonariusze pobierali u niej lekcje muzykowania — poza tym w dni, w które zjawiał się u pp. Chopinów p. Casotri, *maître* tańca, do obowiązków pani Justyny należało akompaniowanie *maître'*owi i pensjonariuszom podczas lekcji. Taniec bowiem, podobnie jak gra na fortepianie czy klawikordzie, był uważany za ważną część starannego wychowania.

Nowe *Fluegelfortepiano* zakupił pan Mikołaj, zdaje się, z wiosną 1811 roku. Pani Justyna grała na nim chętnie klawiatury nie zmącił żółty cień fortepianowej starości, struny wibrowały czysto i dźwięcznie. Połyskom nowych mebli, barwom nowych haftów odpowiadał głos instrumentu. ciesząc uszy wszystkich domowników z wyjątkiem... z wyjątkiem Fryderyka Franciszka! Tak. Fryderyk posłyszawszy muzykę uderzał w rozpaczliwy płacz! A więc łzy, krzyk, marszczenie policzków i rozpacz w oczach o orzechowej tęczówce i błękitnawym białku. Skąd ten płacz? Dzieci lubią muzykę — usypia je, „kołysze do snu”. Kołysanki swoim leniwym, wahadłowym rytmem zwalniają puls, przysypkają powieki... Fryderyk zaś posłyszawszy muzykę wybuchał płaczem.

I oto — wobec tego dziwnego faktu — pora na zakończenie „uwag, notatek i informacji wstępnych”. Wydaje mi się bowiem, że płacz Fryderyka jest pierwszym sygnałem jego późniejszych dni, sygnałem pozornie nedorzecznym, w istocie jednak godnym szczerzej uwagi. Ów płacz świadczy po prostu o niespotykanej wrażliwości. Nie wiadomo było jeszcze: jest to wrażliwość ujemna czy dodatnia? Uczucie lęku przed masą zorganizowanych dźwięków czy uczucie wzruszenia? — Panią Justynę martwił rzekomo ten płacz.

Jedyny syn, wymowny świat i pocziwy Żywny

Fryderyk nic nie wiedział o Napoleońskim marszu na Moskwę. o wkroczeniu armii rosyjskiej do Warszawy, o kongresie monarchów, który, porządkując historię Europy, tańczył w pięknym Wiedniu.

Nie wiedział też, że mimo wojen, przemarszów wojsk, głodu idącego śladem armii napoleońskiej, mimo klęsk, których ciężar dźwigało na sobie również Księstwo Warszawskie. los był dla rodziny Chopinów wielce łaskawy.

Po nominacji z 1810 roku na profesora klas niższych Liceum przyszła kolej na dalsze — pan Mikołaj rósł w zaszczyty i godności. W 1812 mianowano go profesorem języka francuskiego w wojskowej Szkole Aplikacyjnej oraz wykładowcą w elementarnej Szkole Artylerii i Inżynierów. W roku następnym zmarł profesor Liceum — Rousseau. Pan Mikołaj Chopin objął po nim wykłady w klasach wyższych.

Rok, w którym rozpoczęła się seria nowych nominacji, pamiętano w Polsce przez wiele lat. Rok 1812!

O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju!

Jak wtedy wyglądał świat Fryderyka? — po prostu: cztery pokoje, kuchnia i od czasu do czasu zjawiska, których jeszcze nie umiał ogarnąć, zjawiska tej miary, co ulice, domy, kościoły.

Najmilszy, bliski, kochany i ciepły był dom. Szczególnie rankami! Rankami profesor i pensjonariusze schodzili do Liceum na lekcje. Zaraz po ich wyjściu sprzątano — pani Justyna była pedantką. Wszystko lśniło i błyszczało od czystości. Gdy zajaśniało do wnętrza słońce, pokój wypełniał się żółtym i jasnobrązowym blaskiem. Krawędzie lusterek i kryształów pulsowały kolorami tęczy — czasami cały promień odbity taką krawędzią kładł się na suficie, ścianie lub podłodze. Był fioletowo-niebiesko-zielono-żółto-pomarańczowo-czerwony. Przykryjesz go dłonią, dłoń taka samiuteńka.

W mieszkaniu niby cisza. Ale ciszę się słyszy: kornik w komodzie, szmer kroków głęboko pod stopami, brzęk lekkiego wiatru o szyby, lekcja Ludki z mamą za trzecią ścianą, za czwartą Zuzka zmywa naczynia i brzęczy fajansami.

Wieczór — szczególnie jeśli zimowy — też jest piękny. Na ściany domu kładzie się wiatr i dudni w piecach, więc szparami ich drzwiczek idzie na pokój skaczący, czerwony blask. Z salonu dołącza się do muzyki pieca muzyka prawdziwa — pani Justyna gra pensjonariuszom do tańca, zaś *maître* Casotri wykrzykuje przez nos — *un, deux, irois... un, deux, trois*. Albo: pensjonariusz ma lekcje z panem Żywnym.

I oto dochodzimy do najważniejszej na razie sprawy. Oczywiście — wszystkie wymieniane tu tęcze, drzwiczki do pieca i korniki w komodach bardzo były miłe. Patrzyło się, słuchało się — dom. Ale najważniejszy, najpiękniejszy, najbardziej godny podziwu był mebel w pokoju z lustrem i kryształami. Sam błyszczał jak lustro. Tak, tak — mowa o *Fluegelfortepiano* z fabryki Buchholza.

Cisza, której się można było przysłuchiwać i którą można było słyszeć, należała do siebie — była nie do uchwycenia i nie do objęcia. Lepiej już działało się z piosenkami. Pani Justyna, Ludka, Zuzka, nawet chłopcy z pensji — wszyscy śpiewali. Kiedy nikt nie słuchał. Fryderyk powtarzał melodie na swój sposób — ładniej, ciszej, każdą do właściwej okazji. Jeśli na przykład zaczynał się zmierzch i z kąta za łóżkiem wyłaziły cienie, mruczał sobie powoli to, co śpiewała Zuzka każdego rana. A na słońce w salonie była znowu wyznaczona jedna ze śpiewek mamy.

Nic jednak nie mogło się równać z owym meblem z salonu. Miał ów mebel taki sposób (my to nazywamy klawiaturą), że gdy się nacisnęło białą lub czarną płytkę, w pokoju poczynał wibrować dźwięk. Czysty, okrągły, jasny lub ciemny, wysoki i lekki lub niski i pełny — dźwięk, w który można było wsłuchiwać się długo z radością i smutkiem w sercu.

Dźwięk dawał się wywołać raz jeszcze i raz jeszcze — dawał się odmieniać, uciszać. Chwila, w której zanikał, była tak piękna, że nie można było czasem — starym obyczajem nie płakać.

*

Jesień roku 1813 minęła u pp. Chopinów na oczekiwaniu Czekano się na... drugiego syna. Nie mówiono o tym wyraźnie, ale pan Mikołaj raz czy dwa razy, zastanawiając się nad imionami, wymienił wyłącznie męskie: czy Bogumił (na cześć rektora Lindego), czy może... może Aleksander? Albo Mikołaj? Pani Justyna odmówiła we właściwym czasie nowennę...

Urodziła się córka. A więc były już trzy — Ludwika, Izabela i Emilka. Fryderyk, niczym samotny rodzynek w cieście, chował się jako jedyny syn zasłużonego profesora Liceum i Szkoły Aplikacyjnej, kierownika pensji dla synów najgodniejszych rodzin w kraju.

Jedyny syn — oto słowa, które mają powagę i tradycję. Wielkie rody przelewały na swych jedynych synów prawa, przywileje i dochody, uzyskane w ciągu kilku długich stuleci. Pełne godności firmy kupieckie pozostawiały swym jedynym synom kontakty z koloniami lub z bankami Rotszyldów. Córki? — cieszono się córkami, martwiono się ich małą wagą socjalną, także... posagiem.

Pan Mikołaj nie był ojcem wysokiego rodu ani właścicielem czcigodnej firmy kupieckiej. Tym bardziej jednak należy się zastanowić, czym był dla niego jedyny syn.

Spadkobiercy wielkich tradycji i wielkich kredytów znaczą właściwie niewiele. Wymaga się od nich utrzymania *status quo*. Ale życie pana Mikołaja było stałym wznoszeniem się. Zaczęło się od ślęczenia za kantorkiem i od bardziej niż ubogiej pensyjki buchaltera. Potem cykl awansów — guwerner Łączyńskich, potem Skarbków, profesor tej i tamtej szkoły zasłużony (tak pisał „Kuryer Warszawski”) profesor Liceum i Szkoły Aplikacyjnej.

A zatem jedyny syn człowieka, którego życie było stałym wznoszeniem się — stałym zdobywaniem nowych szczebli na stromej drabinie ówczesnych układów socjalnych — stawał się spadkobiercą ojcowskiej walki o awans. Tu już nie było i nie mogło być mowy o zachowaniu *status quo*.

Ganche, jeden z uczonych chopinologów, który ostatecznie wyśmiał legendę o Szopie, odnalazł metrykę profesora. Wymowna to metryka... — wiemy już, dlaczego pan Mikołaj nie lubił rozmów na temat swego pochodzenia. Mowa w owej metryce o... chłopach-winogradnikach — Chopiny spod Nancy podpisywali się krzyżykami. Pan Mikołaj poznawał świat w nie bardzo pięknych izbach francuskiej, bo francuskiej, ale i tak plebejskiej rodziny. Cóż z tego, że Chopin? że nazwisko egzotyczne, nie nadwiślańskie? — Taki sam chłop jak Franciszek Guzda z Żelazowej Woli.

Oto jeden etap życia pana Mikołaja.

A teraz zajrzyjmy do salonu państwa profesorostwa *Anno Domini* 1815. Bogato tu i godnie. Jak co czwartku, u profesora Chopina zbiera się towarzystwo: przyjaciele, znajomi, koledzy — elita, tak, elita! Znakomitości: Jego Magnificencja Rektor Liceum, autor „Słownika”, który po dziś dzień za pomnik naukowy jest uznany. Samuel Bogumił Linde, profesorowie tej miary i sławy co Kolberg, Bandtkie (najznakomitszy obok Ossolińskiego historyk prawa), Kazimierz Brodziński, uczony wykładowca literatury i czuły poeta, Józef Elsner. Magnificencja Warszawskiego Konserwatorium, dyrektor Opery, a co najważniejsza „twórca” jak z czcią mówiono — „muzyki polskiej”.

Pani Justyna zabawia panie, podając swe sposoby przyrządzania domowego węgryzna i oranżowych konfitur rektorowa Linde czujnie słucha rad znakomitej gospodyni...

Pan Mikołaj dyskutuje z profesorem Kolbergiem sprawy polityczne o niczym przecież innym w Warszawie się teraz nie mówi, jak o losach Królestwa, obietnicach cara Aleksandra, o zamkniętych już kongresowych wiedeńskich naradach, o księciu Konstantym i armii.